

## Wojciech Nachiło

## część I z III

Sygnatura notacji: **N0089**

Data urodzenia: **13.01.1965 r.**

Data nagrania: **22.02.2022 r.**

Miejsce nagrania: **Centrala IPN, Warszawa, Polska**

Prowadzący/y rozmowę: **Artur Kłus**

Czas nagrania: **część I: 50 min, część II: 53 min, część III: 44 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



## TRANSKRYPCJA



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

**Wojciech Nachiło:** Dzień dobry. Nazywam się Wojciech Nachiło. Urodziłem się w Warszawie 13 stycznia 1965 roku, na warszawskim Grochowie. Jeśli chodzi o moje dzieciństwo i młodość, to mogę powiedzieć tyle, że przebiegało w miarę standardowo, jak na przeciętną rodzinę funkcjonującą w PRL-u. Miałem dwójkę starszego rodzeństwa. Starszy brat, Ryszard, odegrał dużą rolę w pobudzeniu mojej aktywności opozycyjnej, ale o tym opowiem później, natomiast rodzice zaliczali się do inteligencji pracującej, nigdy nie mieli żadnych związków z władzą, nie należeli do partii, byli osobami, które bardzo tak dogłębnie podchodzili do kwestii wiary. Wychowywałem się w rodzinie katolickiej, w której religia odgrywała istotną rolę, natomiast okres mojego dorastania to w zasadzie nie odbiegał od doświadczeń, jak sądzę, przeciętnej rodziny i przeciętnej młodzieży w tym wieku. Mama nazywa się, żyje jeszcze, Stanisława Nachiło, była księgową, tata Edward Nachiło, już w świętej pamięci, był inżynierem i pracował w Instytucie Łączności. Więc jeśli chodzi o rodziców, to myślę, że dzięki nim odebrałem takie gruntowne też wychowanie patriotyczne, wszystkie lektury takie istotne w tym względzie, to rodzice byli tutaj bardzo aktywni i dopingowali mnie do tego, żebym te kwestie też odczuwał jako istotne, ważne w moim życiu. Natomiast takim pierwszym krokiem milowym, który mnie zbliżył do działalności niepodległościowej, to oczywiście był wybór papieża, pierwsze uczestnictwo we Mszy świętej dla młodzieży w 1979 roku, wtedy znajdowałem się... bo msza była w kościele świętej Anny i ja tam z grupą kolegów i koleżanek w tej Mszy świętej uczestniczyliśmy. Kolejnym takim zdarzeniem, które myślę, że też w dużej mierze zaważyło na moim zainteresowaniu się sprawami publicznymi, to były strajki sierpniowe na wybrzeżu. Wcześniej jeszcze te strajki były rozsiane, były w Lublinie, to ja z kolegami w jakiś sposób śledziłyśmy to. Również w naszej niedalekiej okolicy miał miejsce strajk w MPT, czyli Miejskim Przedsiębiorstwie Taksówkowym. Oczywiście tam poszliśmy, przypatrywaliśmy się wiecowi, który się wtedy odbywał, i też już mieliśmy wówczas takie przekonanie, że dzieje się coś

przełomowego, coś bardzo istotnego. Tak że to myślę, że tyle takim tytułem wstępu o moim dzieciństwie, dorastaniu i poznawaniu też tej rzeczywistości w takim szerszym ujęciu społecznym. Tutaj na pewno też mój brat, który był ode mnie sporo starszy i on już na początku lat 80. był studentem Politechniki Warszawskiej, Wydziału Inżynierii Lądowej. Też był bardzo aktywny podczas strajków, które miały miejsce wówczas, był też aktywnym członkiem Niezależnego Zrzeszenia Studentów. Tak że na pewno też taki wpływ starszego brata, trudno przecenić... mojej takiej edukacji społecznej. Miałem też starszą siostrę, mam ją w dalszym ciągu, przy czym ona w mniejszym stopniu interesowała się, jest historykiem sztuki, i może te sprawy społeczne wówczas też mniej ją trochę interesowały. Oczywiście też jak gdyby nie było między nami jakichś różnic większych w postrzeganiu rzeczywistości, tyle tylko że siostra akurat w mniejszym stopniu była zaangażowana w działalność opozycyjną, chociaż oczywiście była takim konsumentem tych treści, które poprzez prasę bezdebitową czy też książki wydawane w podziemiu... to jak najbardziej ona w tym uczestniczyła. Natomiast aktywnie takiej działalności opozycyjnej nie prowadziła poza uczestnictwem w jakichś mszach za ojczyznę, tego typu zdarzeniach. Tak że tak. Natomiast... Cóż, więc ze względu na to społeczne zaangażowanie mojego brata ja siłą rzeczy też to przeżywałem, w tym uczestniczyłem, więc jemu kibicowałem i faktycznie to dzięki bratu zaangażowałem się tak aktywnie już w działalność stricte podziemną, dlatego że mój brat w momencie, kiedy wybuchł stan wojenny, on z grupą kolegów właśnie stworzył jedną z grup, które były później filarem Grup Oporu „Solidarni”, które to grupy na początku nie nazywały się Grupy Oporu „Solidarni”, początkowo to były Grupy Specjalne RKW, później Grupy Wykonawcze RKW, na koniec Grupy Oporu „Solidarni”. Tak że ewidentnie ze strony Regionalnego Komitetu Wykonawczego Solidarności był ten taki nacisk, żeby nie wiązać poprzez nazewnictwo naszych grup ze strukturami oficjalnymi Regionalnego Komitetu Wykonawczego. Więc mój brat właśnie ze swoimi przyjaciółmi z wydziału i z politechniki, szerzej mówiąc, zaczął aktywnie uczestniczyć poprzez rozklejanie ulotek, rozrzucanie tych ulotek.

### **Artur Kłus: Punktem zapalnym był wybuch stanu wojennego?**

**Wojciech Nachiło:** Tak, ewidentnie, tak.

### **Artur Kłus: Jak pan wspomina ten dzień?**

**Wojciech Nachiło:** Ja wtedy nie miałem jakiegoś takiego głębszego kontaktu z żadnymi strukturami, natomiast pamiętam to w taki sposób, że z kolegami z podwórka wsiadaliśmy do autobusu, wykrzykiwaliśmy jakieś hasła, „wrona skona”, tak że na swój taki domowy sposób też jakąś działalność prowadziliśmy, przy czym była to taka działalność bardzo spontaniczna. Też malowaliśmy jakieś hasła w rodzaju „wrona skona”. Natomiast nie mieliśmy takiego bezpośredniego powiązania ze strukturami opozycyjnymi, w których to mój brat już tkwił, i może ze względu na mój młody wiek, bo ja miałem w momencie wybuchu stanu wojennego szesnaście lat, jakoś niespecjalnie też chętnie mnie do tych działań angażował, niemniej w zasadzie od początku jakieś materiały od niego otrzymywałem do rozrzucania, do rozklejania, tak że tutaj tę aktywność swoją też upatruję jako swego rodzaju wspomaganie aktywności mojego brata. W 1982 roku, bo ja do tej pory tak doraźnie jeszcze nie tworzyłem własnej grupy, raczej w takim wąskim kręgu składającym się też z kolegów z takiego największego środowiska podwórkowego, wśród nich był Wojtek Gniadzik, Jacek Grzechociński, już jakieś formy tej aktywności takiej podziemnej mieliśmy za sobą, natomiast nie mieliśmy też takiego poczucia, że jesteśmy członkami jakiejś organizacji, po prostu jak brat większą ilość ulotek przy-

nosił, to myśmy pomagali mu ją rozdystrybuować. Działalność mojego brata i pozostałych kolegów z politechniki, którzy tworzyli zaczątek tej grupy, która później jest nazywana grupą „Waldeczków”, wcześniej grupą „Waldka”, dlatego że jej szefem był nasz kolega, starszy trochę od nas, Wiktor Świercz, który nosił różne przydomki, ale w każdym razie w którymś momencie zaczęliśmy nazywać tę grupę grupą „Witka, Waldka, Leszka”, bo on miał po kolei takie pseudonimy, najpierw „Witek”, później „Waldek”, później „Leszek”, tak że tak nazywaliśmy tę grupę. I podczas jednej z akcji w 1982 roku, przeprowadzanej akcji takiego nocnego rozklejania ulotek na ulicach Warszawy, doszło do takiego poważnego zatrzymania, bo zatrzymano w ciągu jednego dnia cztery osoby, wśród nich to był właśnie mój brat, był Marek Głowacki, był Zbyszek Hurlak i właśnie ten Wiktor Świercz, który był szefem tej grupy, i wszyscy oni zostali osadzeni w areszcie śledczym na ulicy Rakowieckiej, dostali sankcje, siedzieli około miesiąca, w każdym razie święta Bożego Narodzenia w 1982 roku spędzili w więzieniu na ulicy Rakowieckiej. No i to był ten moment, kiedy ja też uznałem, że powinienem w większym stopniu się zaangażować też osobiście, że przebieg zdarzeń jak gdyby zobligował mnie też moralnie do tego, żeby się bardziej aktywnie włączyć w tę działalność. No i wtedy zacząłem pośród osób, które znałem, właśnie czy poprzez podwórko, czy poprzez liceum ogólnokształcące, przez harcerstwo, zacząłem organizować taką grupę ludzi, która się w pewnym momencie rozrosła do kilkudziesięciu osób i była taką bardzo sprawnie, prężnie działającą grupą. Natomiast stanowiła też taki melanż młodości, bo my byliśmy wtedy jeszcze bardzo młodzi, a nasi starsi koledzy, właśnie Marek Głowacki, mój brat, Witek Świercz, „Jaskinia”, Marian Kaleta, Jurek Andrzejuk, to oni stanowili taką starszą część grupy i przez pewien czas wspólnie funkcjonowaliśmy. Ja z kolei przyprowadziłem ten młodszy narybek i no tam, tak jak wspominałem, kilkadziesiąt osób do tej działalności się włączyło. Ale to wszystko działało w ramach jednej grupy? Tak. Tam jeszcze doszło do takiej sytuacji, wcześniej myśmy się czuli częścią tej grupy „Waldka” właśnie, której szefem był Wiktor Świercz, który był osobą, która była darzona powszechnym szacunkiem wśród nas, był bardzo taki, bym powiedział, zasadniczy, bardzo kryształowy i miał taką wśród nas naturalną estymę, wynikającą z jego też takiej postawy życiowej. Natomiast nie miał szczęścia w tej działalności podziemnej, bo po tym uwolnieniu czwórki, o której opowiadałem, która została zatrzymana wtedy na ulicach Warszawy podczas rozklejania, to też było charakterystyczne, bo oni rozklejali w zasadzie tylko ulotki z napisem „Solidarność żyje”, tak że bardzo takim lakonicznym, a niemniej to wystarczyło do tego, żeby ich osadzić w więzieniu, objąć sankcją prokuratorską, później oni na fali jakiejś amnestii, cyklicznie ogłaszanej przez władze, wyszli. To było... oni 6 grudnia wpadli, a wyszli pod koniec roku. Czyli tak jak wspominałem, spędzili te święta Bożego Narodzenia w więzieniu. Natomiast na koniec roku bodajże wyszli, wtedy została ogłoszona jakaś amnestia czy jakieś kolejne poluzowanie tych rygorystycznych przepisów stanu wojennego, w każdym razie oni wyszli, natomiast nie tak długo później, bo w 1983 roku po raz kolejny ten nasz szef został aresztowany i znów trafił na ulicę Rakowiecką. No i gdyby wynikało to też z tej okoliczności, że on był po prostu zamknięty i nie mógł kierować grupą... W naturalny sposób, ja w większym stopniu zacząłem organizować działalność tej grupy, zacząłem się spotykać z „Teosiem” Klineciewiczem już bezpośrednio no i w ten sposób dokonana się taka trochę zmiana pokoleniowa, chociaż w momencie, kiedy Witek Świercz wyszedł po raz kolejny z tego aresztu na ulicy Rakowieckiej, on na nowo objął kierownictwo grupy. Chociaż to są tylko moje domniemania, ale wydaje się, że też w jakiś sposób odczuwał zmęczenie tym. Dwa razy siedział w więzieniu, ponadto jemu w jakiś sposób, tak mi się wydaje, doskwierał pewnego rodzaju taki wkradający się w naszą działalność rutynizm. Tak że to było dla niego takie trudne i on w którymś momencie po prostu uznał, że ja powinienem prowadzić dalej grupę, i sam się na pewnym etapie wycofał. Natomiast faktem jest, że to w jakiś sposób też było jakoś naturalne, dlatego że ta część „bojowców”, jak nas określał „Teos”

Klincewicz, ta młodsza, była też coraz bardziej aktywna, coraz bardziej zaangażowana, więc siłą rzeczy to myślę, że to też przebiegało w sposób dość naturalny, to znaczy ci nasi starsi koledzy z politechniki, oni bądź to zrezygnowali z działalności, lub też zmienili trochę formułę na mniej, powiedziałbym, uliczną. Część z tych kolegów zajęła się taką działalnością wydawniczą, kolporterską, natomiast my myślę, że z racji tego, że mieliśmy dużo zapału, byliśmy młodzi wiekiem, to jakby staraliśmy się koncentrować na tych rzeczach takich najbardziej spektakularnych, czyli... Ale też ta grupa tych młodszych członków też się powiększyła, rozumiem, że się powiększyła? – Tak, tak. Ona się cały czas... – Na początku, mówił pan, to było – kilkanaście osób... – Kilkanaście osób, później coraz więcej. Ona się też rozrastała oczywiście w czasie, bo było też tak, że jak gdyby poznawaliśmy nowe środowiska, te środowiska w jakiś też naturalny sposób do nas lgnęły, bo my robiliśmy właśnie dużo tych akcji, te akcje to poza takimi najbardziej podstawowymi, czyli akcjami rozrzucania ulotek, to były te akcje stawiania gadał na ulicach, w takich miejscach, które się charakteryzowały naturalnym niedużym natężeniem ruchu takiego ulicznego, więc robiliśmy tego typu akcje, że nadawaliśmy audycje Solidarność dla ludzi na przykład w podziemiach przy Rotundzie, nad barem w Amforze, ileś takich akcji mieliśmy jakby na koncie. Ponadto właśnie rozrzucaliśmy ulotki, też nieustannie zmieniając techniki. Ja miałem pseudonim „Waldek”, ale dla rozróżnienia, ze względu na to, że byłem dużo młodszy, dużo drobniejszy od tego starszego kolegi, „Teoś” zaczął mnie nazywać „Waldeczek” po prostu, tak żeby... Bo ja przyjąłem też w naturalny sposób pseudonim tego Witka Świercza, który brzmiał „Waldek”, natomiast on mnie zaczął nazywać „Waldeczek”, tak zdrobniale, żeby nas odróżnić. Też koledzy z innej grupy, „grochowskiej”, to nas nazywali „Skoczkami”, nie wiem o co chodziło w tym pseudonimie, tym kryptonimie, ale tak nas określali, do tej pory też tak o nas mówią, że to „Waldeczki” albo „Skoczkowie”. A „Wataszka”? A „Wataszka” to był też taki pseudonim, którym się rzadko, ale posługiwałem, tak mnie nazwała jedna z nielicznych właśnie dziewcząt, które były aktywne w naszej grupie, Agata Wiśniewska, nie wiem dokładnie, dlaczego akurat mnie tym określeniem nazwała, ale rzeczywiście przez jakiś czas się też tym określeniem posługiwałem. Znaczący, tak, no to jeśli chodzi o podejście rodziców, to tutaj, jakbym miał określić, to myślę, że taka powściągliwa życzliwość. To znaczy mama wiadomo, że bardzo to przeżywała, bo też poza tą dłuższą odsiadką mojego brata, zdarzało nam się trafiać na te 48 godzin do aresztu, tak że mama oczywiście jakby była życzliwa, niemniej też miała swoje obawy, których nie kryła, ale też nigdy nie próbowali rodzice w jakiś sposób nas w tym ograniczać. Tak że ja bym to określił jako taką życzliwość, ale dość powściągliwą. Tak bym określił podejście moich rodziców. I ten dom też był właśnie faktycznie taką trochę bazą dla całej grupy? Tak, był ewidentnie bazą, to znaczy później jeszcze ze względu na to, że właśnie tak to też stanowiło o takiej wyjątkowości naszej grupy, że ona była bardzo różnorodna, to znaczy różne środowiska jakby ją współtworzyły, i to począwszy od tych moich najbliższych kolegów z podwórka, później był taki zaciąg dość duży ze środowiska, które poznałem w liceum ogólnokształcącym, i tam dołączył do nas, z mojej klasy zresztą, Paweł Płaczkowski, z innych klas Konrad Falencki, Mirek Mikołajczuk, dwaj bracia Binkowie, którzy z kolei też jakby ze swoich takich kontaktów podwórkowych zorganizowali kolejne osoby, to był Waldek Zimnicki i Kacper Popławski, tak że w taki sposób się ta grupa rozrastała, ale z drugiej strony też na przykład pozyskaliśmy bardzo istotną postać w naszej działalności, mianowicie dozorcę naszego bloku, którym się okazał być młody miłośnik muzyki Kaczmarzkiego, który po prostu usłyszał, że u nas, w naszym mieszkaniu, często słychać piosenki Kaczmarzkiego, a sam był miłośnikiem. Świetnie gra, do tej pory gra, wspaniale wykonuje piosenki i Kaczmarzkiego, i Gintrowskiego, i w taki sposób się poznaliśmy. On był dozorcą dlatego, że po prostu w taki sposób chciał dostać mieszkanie, bo to wtedy różnymi metodami się pozyskiwało to mieszkanie, ale też on jakby zasiliał naszą grupę, przez to, że był dozorcą, to był w stanie nam wiele takich miejsc, które myśmy określali

jako dziuple, czyli takie schowki gospodarcze, zapewnić do naszej działalności, on z kolei powciągał do naszej grupy kolejnych dozorców, tak że to rzeczywiście różne środowiska współtworzyły tę grupę. Również mój brat, który później przez jakiś czas tam uczył się w szkole takiej policealnej, bo na pewien czas zrezygnował ze studiów, to właśnie on tam zapoznał kolejne osoby, Jacka Elgasa, Agatę Wiśniewską właśnie, Marka bodajże Zwierzyńskiego, tak że naprawdę ta grupa pączkowała i tworzyła ją bardzo różne środowiska. Dużą częścią też naszej grupy, to znaczy my tak ich postrzegamy, to była grupa, która tworzyła niezależne środowisko Federacji Młodzieży Walczącej, natomiast mimo że być może formalnie nie... bo tam w ogóle trudno było mówić o jakimś formalizmie, ale uczestniczyli wspólnie z nami w większości akcji. Jego zdaniem właśnie grupa „Waldeczków” to była najmocniejsza ekipa i to się mówiło, że to była „ekipa ostrych chłopaków”.

**Artur Kłus: I jakby mógł pan zrobić takie wprowadzenie, skąd mógł być taki pogląd „ostrych chłopaków”, czy to właśnie przez kwestię aktywności, działalności?**

**Wojciech Nachiło:** To również, ale rzeczywiście my często podejmowaliśmy się takich zadań, które niekoniecznie były bezpieczne. Do nich też należała ta właśnie słynna akcja w Katowicach, ale my również w innych miastach eksportowaliśmy rewolucję, bo rozrzucaliśmy ulotki z tych wyrzutników między innymi również we Wrocławiu, Szczecinie, tak że ta nasza aktywność nie ograniczała się tylko do Warszawy. I myślę, że to z jednej strony wynikało z tego, że chętnie podejmowaliśmy się przeprowadzania różnych takich akcji. Też naszą, powiedzmy, taką aktywnością, która też dodawała nam może takiego splendoru wewnątrz podziemia, to były akcje audycji dla więźniów politycznych na ulicy Rakowieckiej, i tam kilka tych akcji nagłośnienia i wyemitowania audycji dla więźniów skutecznie przeprowadziliśmy, bez żadnej wpadki. Czasami to było tak, że to były audycje dedykowane jakimś naszym kolegom, którzy akurat przebywali wtedy w więzieniu, puszczałyśmy też dla nich ich ulubione piosenki, tak żeby nie mieli wątpliwości, że to właśnie szczególnie dla nich tę audycję emitujemy. Te audycje były emitowane w ramach funkcjonowania

**Artur Kłus: Urządzeń gadał?**

**Wojciech Nachiło:** Tak.

**Artur Kłus: Gdyby pan mógł tak opowiedzieć właśnie, jak wyglądały te gadały i też jak to się montowało, jak wyglądał taki proces, na przykładzie właśnie jakiejś akcji, jak wspomina pan?**

**Wojciech Nachiło:** Te gadały to była po prostu taka skrzynia z wmontowanym magnetofonem i z włożoną taśmą z audycją, która miała jakieś stosowne opóźnienie. I z reguły one przebiegały w taki sposób, znaczy, jeśli chodzi o te audycje emitowane na ulicy Rakowieckiej, to my z kilku różnych miejsc, ale zlokalizowanych w bezpośredniej bliskości więzienia. To się odbywało w taki sposób, że najpierw przecinaliśmy kłódkę, dostawaliśmy się na strych i dach takiego domu, włączaliśmy tę audycję i z opóźnieniem ona, piętnastominutowym czy ileś, to się uruchamiała, to było z reguły w godzinach wieczornych, kiedy było w miarę cicho, i odpowiednio duże głośniki oczywiście, żeby to było słyszalne. Ale te gadały też miały różny wygląd, różny rozmiar, różne rozmiary. Pamiętam, że podczas jednej z demonstracji pod kościołem świętego Stanisława Kostki, gdzie, jak wiemy, ksiądz Popiełuszko odprawiał te msze

za ojczyznę, to zamontowaliśmy takie gadały, które po prostu miały taki mechanizm, który uniemożliwiał ich wyjęcie, po prostu w okolicznej bramie, poprzez wciśnięcie takiego trzpienia, i te gadały miały specjalną stalową obudowę, takie były pancerne, no to audycję wyemitowaliśmy. Tak że... Ale jak było to przed kościołem Stanisława Kostki, to było niezależnie od mszy, tak? Tak. Po mszy, zazwyczaj wtedy się tam odbywały manifestacje z okazji 1 maja i z okazji 3 maja, ja już nie pamiętam dokładnie, jakiej to daty dotyczyło. Oczywiście też mieliśmy na koncie takie akcje, kiedy gadała na takim drucie, strunie, miała zjechać i być wyemitowana, jak gdyby z powietrza. Mieliśmy też na koncie taką akcję, przy czym tutaj nie jestem przekonany, czy ona doszła do skutku, w każdym razie też w niedalekich okolicach kościoła świętego Stanisława Kostki włamaliśmy się do jakiegoś pustostanu i przez całą noc montowaliśmy takie ogromne urządzenie nagłaśniające, natomiast nieszczęśliwie okazało się, że piętro nad nami był lokal konspiracyjny Służby Bezpieczeństwa i oni tam przez całą tę noc chodzili, i nie wiem czy im się udało, bo różne na ten temat opinie krążą, że jednak ta audycja zagrała, inni twierdzą, że nie, że jednak to udało im się unieszkodliwić przed emisją. Tak że te gadały miały bardzo różną formę, różną siłę, różny zasięg.

**Artur Kłus: Pamięta pan jakieś działania, które mówiły o aktywności w manifestacjach czy malowaniach na murach, czy to zasmradzanie, tego typu aktywność. – Czy coś pan...**

**Wojciech Nachiło:** Tak. Oczywiście to było ważną częścią naszej działalności, bo oczywiście to malowanie napisów na murach, malowanie też niejednokrotnie na tramwajach, na zajezdni tramwajowej, na Gocławku, te akcje zasmradzania właśnie tych mieszkańców kolaborantów, to wszystko to był też taki chleb powszedni naszej działalności. I to nie sposób zliczyć jest tych akcji, bo ich naprawdę były dziesiątki czy też setki. I nie zawsze one przybierały formę takiego scentralizowanego działania. Byli koledzy, którzy po prostu nieustannie przy sobie nosili sprej i w momencie, kiedy widzieli nadarzącą się chwilę, po prostu te hasła malowali, ale oczywiście też były to działania w ramach jakiejś większej akcji, przed zbliżającymi się wyborami, przed referendum, kiedy chcieliśmy się zaznaczyć i pokazać, że jednak Solidarność istnieje. Natomiast jeszcze wracając do tego pańskiego pytania o „ostrych chłopaków”, to być może też ma to związek z tym, że podczas jednej z akcji ulotkowania jeden z naszych kolegów, Mirek Mikołajczuk, uczestniczący w tej akcji razem z Konradem Falenckim i Jackiem Winkiem, po prostu zrzucił milicjanta ze schodów i go poturbował mocno, bo koledzy weszli tam na jakieś piętro wieżowca, żeby stamtąd rozrzucić ulotki, a ze względu na to, że była to jakaś tam zbliżająca się rocznica jakichś wydarzeń, to część tych punktów, z których często korzystaliśmy, była obstawiona przez milicjantów. I podczas jednej z takich akcji ulotkowych ten kolega jednego z milicjantów zrzucił, drugiego tam przepchnął i podczas tej akcji niestety inny kolega, który akurat by własnoręcznie tego nie dokonał, niemniej on został złapany i przez dłuższy czas siedział też w więzieniu, przy czym z oskarżenia o czynną napaść na policjanta, i wśród tych więźniów niepolitycznych, więc on miał nieporównanie trudniejszą sytuację niż inni, którzy trafiali razem z politycznymi więźniami. Więc myślę, że to też w jakiś sposób tam się przyczyniło do tej opinii, którą mieliśmy. Też te metody przez nas stosowane ewoluowały. Początkowo to były głównie ulotki rozrzucone z wysoko położonych wieżowców czy też budynków zlokalizowanych przy głównych ciągach pieszych komunikacyjnych, na Marszałkowskiej, w Alejach Jerozolimskich, i tam był po prostu plik tych ulotek obwiązany żyłką, i z zamontowanym lontem, który się podpalało i w momencie, kiedy ten lont przepalał żyłkę, to te ulotki się rozsypywały. Później przez pewien czas dość intensywnie wykorzystywaliśmy te wyrzutniki pirotechniczne, które niestety też przyczyniały się do różnych niepożądanych zdarzeń, między innymi właśnie mnie... podczas włączania jednego z tych wyrzutników

doszło do eksplozji, miałem poranioną rękę, a kolega, który się temu przypatrywał, miał całą czarną twarz i też drobiny prochu mu się powbiły w twarz, tak że w pewnym momencie uznaliśmy, że jest to zbyt ryzykowna forma działania. No więc taką najbardziej spektakularną akcją z użyciem tych wyrzutników przeprowadziliśmy w Katowicach wspólnie z grupą „grochowską”, czyli grupą Piotra Rzewuskiego, pojechaliśmy z kilkunastoma wyrzutnikami, które porozstawialiśmy w różnych właśnie takich centralnych punktach miasta, w śmietnikach, i jak gdyby rozrzucenie tych ulotek polegało na tym, że w taką rurę kanalizacyjną, która była tam przycięta na wysokość, powiedzmy, 40 centymetrów, wkładało się ulotki, które były rozrzucone siłą takiego wybuchu pirotechnicznego, który tam był zgromadzony pod spodem tej rury. Była taka nakładka gumowa, która powodowała, że nie spalały się te ulotki, no i był zamontowany też opóźniacz, który w niektórych sytuacjach nie działał, i to powodowało duże niebezpieczeństwo, którego ja na własnej skórze też doświadczyłem, no i też rodziło niebezpieczeństwo zranienia innych osób, które niechcący zajrzały do tego śmietnika, czy się zbliżyły na zbyt bliską odległość. W każdym bądź razie ta akcja była bardzo szeroko nagłośniona. Był materiał w głównym wydaniu dziennika telewizyjnego, była jakaś informacja o jakiejś poranionej kobiecie. I to było nagłośnione, że to był akt terroryzmu? Tak. Natomiast my nie byliśmy w stanie zweryfikować tego, czy tam rzeczywiście doszło do jakiegoś poranienia, bo jak gdyby sprawa nie miała swojego dalszego ciągu. No i na ten temat krążyły różne opinie, bo były takie opinie, że ta kobieta poraniona okazała się być wielką zwolenniczką Solidarności, nie chciała żadnego zawiadomienia składać. Były też inne takie, że w zasadzie nie doszło do żadnego poranienia, tak że trudno nam było zweryfikować te informacje. Niemniej poza tym, że one miały taki dość spektakularny wymiar, bo było o tym głośno i było to takie zauważalne... Był, zdaje się, 1984 rok. W zasadzie to miejsce tej akcji ustalił „Teoś” Kłincewicz w jakichś negocjacjach z RKW. Bo to była akcja przeprowadzona za zgodą i wiedzą RKW Mazowsza.

### **Artur Kłus: Mówi pan też o akcjach i we Wrocławiu, i w Szczecinie, to były podobne akcje?**

**Wojciech Nachiło:** Tak, były to podobne akcje, przy czym one już nie miały takiej nośności propagandowej, ze względu na to, że tam do niczego nie doszło, one już nie były nagłaśniane. Niemniej, na pewno też powodowały jakieś reakcje, bo było to coś takiego rzadkiego, spektakularnego, tak że na pewno miały też swój cel i sens. Natomiast wiązało się to też z dużym wysiłkiem takim organizacyjnym, bo to kilkanaście osób musiało przemieścić się w drugi koniec Polski, więc w którymś momencie zaniechaliśmy. Zresztą w sytuacji, w której doszło do tego wybuchu, który bardzo poważnie zranił Mariusza Zielińskiego, kategorycznie odmówiliśmy korzystania z tych wyrzutników. To był wybuch podczas akcji katowickiej? Nie. To się zdarzyło w mieszkaniu. On po prostu przygotowywał, produkował te wyrzutniki i podczas tej produkcji doszło do takiego wybuchu, który spowodował, że wszystkie okna w jego mieszkaniu wyleciały, on sam znalazł się w szpitalu, był przez dłuższy czas zagrożony utratą wzroku i później też ten wzrok bardzo mu się pogorszył, po tym wybuchu, no i my uznaliśmy, że jak gdyby gra nie jest warta świeczki, a jednocześnie w tym czasie, kiedy już dowiedzieliśmy się, że nasi szefowie, pomimo tego, że wiedzieli, że do takiego wybuchu doszło, nam przekazali partie tych wyrzutników i wtedy właśnie doszło do tego szybkiego zapłonu bez opóźnienia, który to poranił Jacka Czarneckiego i mnie właśnie.